

Babcia

Babcia odłożyła okulary i zapadła w drzemkę. Obok, po drugiej stronie ławy, na dywanie, leżał jej mąż. Na dywanie i dlatego bolał go kręgosłup, poza tym na kanapie jest tylko jedno miejsce. Dla niej. Zastąpiła sobie na nie po tych czterdziestu latach mordęgi. Nienawidziła swojego męża. Śmierdział starym dziadem. Miał na imię Albin, ale kazał na siebie mówić Ryszard. Babcia też nie lubiła swojego imienia – Leokadia – dlatego kazała na siebie mówić Lidia. Leokadia i Albin albo Lidia i Ryszard. Ryszard mówił na nią Lidka albo „stary hitlerowiec, taki sam jak jej ojciec”. Leokadia mówiła na niego „Lubliniec”, bo najbliższy szpital psychiatryczny znajdował się w Lublińcu. Albin, żeby uniknąć kiedyś więzienia, załatwił sobie żółte papiery. Babcia uważała, że przyznano mu je całkiem słusznie.

Oboje mieszkali w pięknym domu – bliźniaku, który sami wybudowali. Nie przepadal za sąsiadami, zarówno tymi zza ściany, po lewej stronie, jak i tymi z oddzielnego domku, z prawej strony. Od tych ostatnich, oprócz płotu oddzielał ich rząd gęstych cisów. Cisy były szerokie i dawały sąsiadom dużo cienia w upalne dni, dlatego ostatniego lata zostały wycięte. Pozostały po nich placki gołej ziemi, na której nie chciała rosnąć trawa. Po podwórku zawsze biegał pies. Od lat był to owczarek niemiecki. Ostatniego najprawdopodobniej otruli sąsiedzi, bo był zbyt ufny. Kolejny wybór padł na owczarka kaukaskiego, który miał czarno w pysku, co świadczyło o tym, że nie da się otruć byle komu. Owczarek kaukaski miał na imię Maja i już jako szczeniak użarł listonosza aż do krwi. Cała rodzina była z niego dumna. Sąsiadka po prawej to „Gorylica”. Wypędziła z domu swojego męża, którego miejsce zajął kochanek. Sąsiedzi po lewej to „Wypierdki”. Są bladzi, chudzi, co jednoznacznie wskazuje na nosicielstwo pasożytów przewodu pokarmowego. Wnuczęta Albina i Leokadii miały zakaz jedzenia od nich cze-
gokolwiek.

Leokadia nienawidziła Albina, bo ten zmarnował jej życie. W młodości była piękną kobietą, ale pochodziła z nędznej rodziny. Stary wariat, jej ojciec, pozwalał jej po szkole jedynie na pasanie krów całymi dniami i ostro karał, właściwie za nic. Pewnego dnia poznała miłość swojego życia. Henryk był wysokim, przystojnym i kulturalnym mężczyzną. Bardzo delikatnym. Student akademii muzycznej, grał na skrzypcach. Zafascynowała go uroda Leokadii, jej skromność oraz lekkie wycofanie. Spotykali się od dłuższego czasu, a Henryk, jako że traktował Leokadię poważnie, zapoznał ją ze swoimi rodzicami, wydając wspólną kolację. Na rodzicach zrobiła dobre wrażenie: ładna, czysta, cicha. Henryk był szczęśliwy. Jednak Leokadia kroić wątróbkę i wiedziała, że to już koniec. Pewnego dnia bez słowa zerwała z nim kontakt. Nie miała innego wyjścia. Jak miała przedstawić mu swoją rodzinę, zaprosić do domu? Wszyscy na kupie, nie ma co na tyłek założyć, nie ma nawet

elektryczności. Bieda z nędzą. Przecież gdyby on to zobaczył, natychmiast by uciekł. Leokadia wołała tego uniknąć. Zacisnęła pięści i dalej w życie walczyć o swoje, nie można się nad sobą uzalać, ludzi nie takie nieszczęścia dotyczą. Któregoś dnia poznała Albina. Był wysportowany i uśmiechnięty, chociaż trochę śmierdziało mu z ust. Leokadia trzymała go na dystans, po cichu czekając na kogoś lepszego. Ciężko jednak kogoś znaleźć, gdy ktoś inny nie odstępować cię na krok. Upór i determinacja Albina zrobiły swoje. „Chodził, chodził i wychodził” – powie kilkadziesiąt lat później Leokadia swoim wnuczkom.

Leokadia i Albin przenieśli się razem do innego miasta, żeby zacząć nowe życie. Miasto nie za małe i nie za duże. Z blokami, domami jednorodzinnymi i Miejskim Domem Kultury w centrum. Pojawiły się dzieci. Najpierw córka Agnieszka, rok później syn Maciej, a po kilku latach Kasia. Albin był skończonym chamem i cały czas kłócił się ze swoją żoną. „Kapcie z okien latały” – tak scharakteryzuje wnuczkom ten etap w swoim życiu Leokadia kilkadziesiąt lat później. Ona pracowała w biurze turystycznym, on był kierownikiem budowy. Gdy mieszkanie w bloku okazało się za małe, postarali się o pozwolenie na wybudowanie własnego domu. Leokadia wreszcie ukończyła upragnione studia i zaczęła pracę nauczycielki wuefu. Co roku jeździli na wczasy do Bułgarii, a Maciuś przemycił w buzi złote pierścionki na handel. Wymiana towarowa z krajami republik radzieckich przynosiła rodzinie dużo satysfakcji. Naprawdę źle zaczęło być, gdy Albina zwolniono dyscyplinarnie z powodu picia wódki w miejscu pracy. Leokadia musiała zarabiać na całą rodzinę, a przecież zimą trzeba zabrać dzieci na narty, a latem – nad morze. Nie było takiego roku, żeby wakacje zimowe czy letnie spędzać w domu. Dzieci, choć piękne i rumiane, widać, że dobrze odżywione, uczyć się nie chciały. Bawiły się od rana do nocy i nie miały ochoty wracać do domu, żeby odrabiać lekcje. Inne dzieci albo od razu po szkole zasiadały do lekcji, a później do wieczora bawiły się na dworze, albo odwrotnie: najpierw zabawa, następnie lekcje. A te nie. Wcale się nie uczyły. Jedynie Kasia była dość pilna, ale ewidentnie brakowało jej zdolności i mogła opanować na kolejny dzień jeden, góra dwa przedmioty, gdy należało co najmniej pięć. Agnieszka trzy razy chodziła w liceum do tej samej klasy. Nie pomagały korepetycje ani drobne prezenty dla nauczycieli. Żadne z nich nie skończyło studiów. Żadne. Maciuś może i by dał radę, ale gdy miał osiemnaście lat, zawrócił mu w głowie stary babiszon z dzieckiem, notorycznie go wykorzystujący, który rzucił go, gdy ten okazał się niewydolny finansowo. Na jaw wyszły jego długie, następnie w całości spłacone przez Leokadię. Sprzedała w tym celu trzy działki i wzięła kredyt. Lepiej nie mieć działek i mieć syna niż mieć działki i syna w rzece. Do tej pory raz na jakiś czas wychodzą jeszcze nieprzyjemne drobiazgi: a tu jakieś małe zadłużenia, a tu jakaś sprawa sądowa. Na szczęście Maciej poznał odpowiednią kobietę (chociaż kurdupla). Pani doktor ekonomii, wykłada na uniwersytecie. Wyprowadził się od rodziców. Postanowił skończyć studia. Dobrze mu idzie, jest na czwartym roku. W tygodniu pracuje na budowie, bo bez studiów w dzisiejszych czasach to tylko na budowę albo ulice zamiatać. Agnieszka zrobiła sobie dziecko, dla odmiany z młodszym facetem, leniem do kwadratu. Kiedyś wrzucił spodnie do miski z wodą i tak długo zwlekał z wypraniem ich, że spodnie rozpuściły się, no zupełnie zniknęły. Nigdy za to nie skłamał, zamiast tego spuszczał wzrok i nie odpowiadał więcej

na zadawane pytania. Szala ze zbiorem zalet i wad przechyliła się na stronę tych ostatnich, gdy zdradził Agnieszkę, robiąc dziecko innej. Chociaż to już było po rozwodzie. Ale jednak. Leokadia namówiła córkę do wyjazdu za granicę, a sama zaopiekowała się dzieckiem, które właściwie zawdzięcza jej życie. Patrycja była bowiem wcześniakiem. Leokadia przyniosła ją ze szpitala i miała wrażenie, że w rękach trzyma drżącego, pomarszczonego i sinego ssaka o nieokreślonej przynależności gatunkowej. Przytuliła ją wtedy do cyca, a dziecko od razu stało się różowutkie i radosne. Po roku kelnerowania za granicą Agnieszka wróciła. Poznawała różnych mężczyzn, zamieszkała z matką, z hukiem się od matki wyprowadziła, wpadła w depresję, wprowadziła się do matki pod groźbą utraty dziecka, wyprowadziła się, zaszła w ciążę ze swoim terapeutą, wzięła ślub, kupiła mieszkanie w bloku, rozwiodła się. Obecnie wszystko układa się pomyślnie. Kasia wyszła za mąż za Belga. Wyniosła z domu srebrną zastawę, futra i biżuterię, a wróciła z gotą dupą. Podobnie jak jej brat zaczęła studia, a prace zaliczeniowe pisze Leokadia. Kasia boi się, że nie skończy studiów, dlatego próbuje z nich zrezygnować, z marnym skutkiem jak na razie. Ma dużo pieniędzy, mogłaby dać sobie spokój, ale człowiek bez studiów... Wnuczęta udały się za to wyśmienicie, dobrze się uczą i po skończeniu studiów zajmą na pewno wysokopłatne posady albo chociaż prestiżowe: będą wykładowcami, ambasadorami, prawnikami. I zrealizuje się upragniony przez Leokadię awans, żeby dzieci zaszły wyżej niż rodzice.

Emerytura nie jest jednak niczym przyjemnym, jeśli ma się więcej na głowie niż w czasie aktywności zawodowej. Przy dzieciach tyle stresów, nie śpi po nocach. Leokadii śnią się rozprawy sądowe i niezaliczone egzaminy. Oczy są słabe i przy wysiłku coś w nich pęka, biało zachodzi krwiv. A ten stary dziad zamiast pomóc, utrudnia i kłóci się z nią o wszystko, niech by już zdechł i byłby spokoj. Leokadia przewraca się z boku na bok, śni jej się pies, który ostatnio choruje i weterynarze nie dają mu szans. Leokadia budzi się z myślą, że trzeba uśpić psa. Kilka metrów od niej, na dywanie, Albin zaczerpnął swój ostatni oddech.

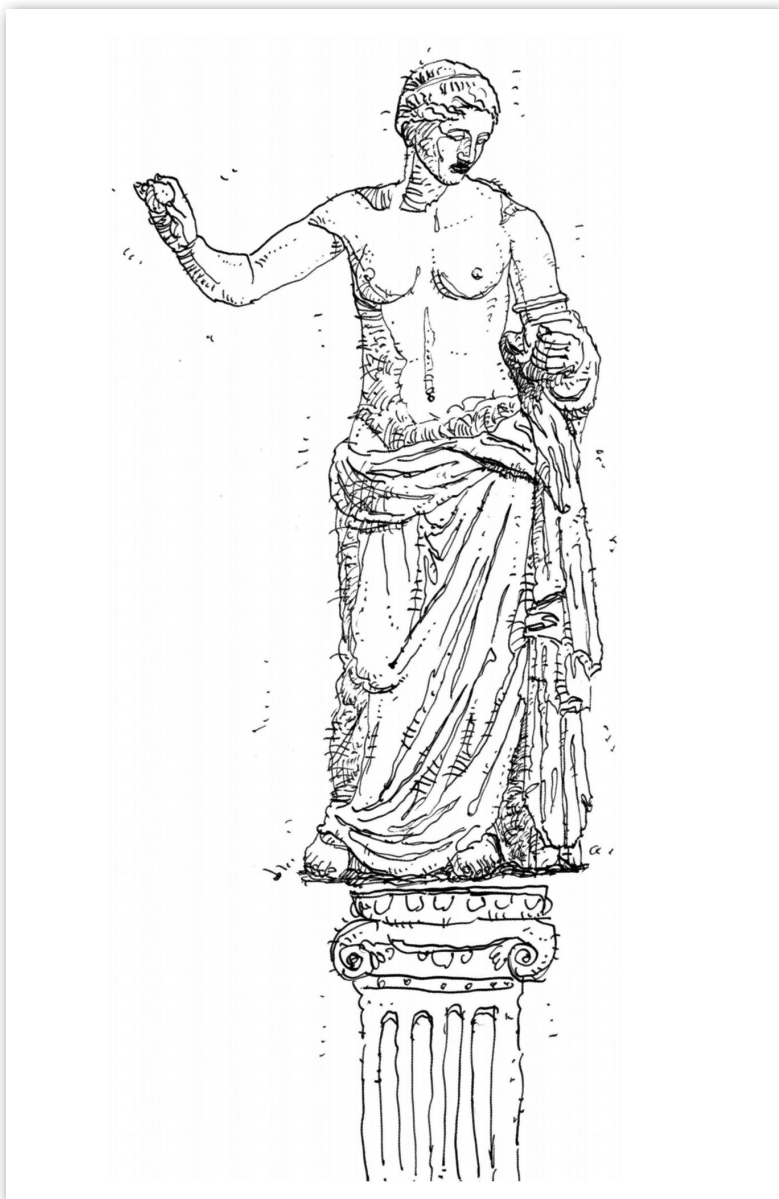
Wykroczenia drobne

Jak opowiada jeden z ochroniarzy sklepu MokPol przy ulicy Puławskiej, noc 31 grudnia należała do wyjątkowo zimnych. Około godziny dwudziestej, na pół godziny przed zamknięciem, ochroniarz postanawia zapalić przed sklepem papierosa. Pali pospiesznie, ponieważ niska temperatura daje się we znaki. Nagle jego uwagę przykuwa mężczyzna biegnący w stronę sklepu. Do cech charakterystycznych, jednocześnie budzących zdziwienie, należą buty, które można określić mianem domowego, na pewno zaś nie zimowego obuwia. Płaszcz w nieładzie, niedbale zarzucony szalik i brak rękawiczek nakazuje domyślać się, że mężczyzna ów opuścił swój dom w pośpiechu. Ochroniarz notuje w pamięci niecodziennego przechodnia, po czym powraca do sklepu. Zaraz za nim wpada zziębnięty mężczyzna. Gdyby przyrzeć się bliżej jego twarzy, dostrzec można by kolejne niepokojące oznaki. Przeróżenie, strach, panika – wymienia pani Lucyna, która w sylwestrowy wieczór udaje się do sklepu MokPol, aby zakupić stoiczek kiszonych ogórków. I miał takie rozbiegane spojrzenie – dodaje. Kamery monitorujące sklep utrwalają kolejne momenty feralnego zdarzenia. Ołów widzimy, jak mężczyzna, a właściwie Edward W., bo o nim mowa, przestępując próg sklepu, waha się przez chwilę. Następnie zdecydowanym krokiem, nie sięgając po koszyk, pokonuje obrotowe drzwiczki. Jego uwagę skupiają produkty przy kasach. Wycofuje się jednak, by – w sposób niedemonstracyjny, ale jednak niekryjący zamiarów – schować do kieszeni paczkę krówek, potem następną i dwa opakowania rozpuszczalnych gum do żucia Mamba. Ochroniarze widząc zaistniałą sytuację, sugerują mężczyźnie udanie się w odpowiednie miejsce w celu wyjaśnienia zdarzenia. Niestety, jak już wcześniej zostało wspomniane, Edward W. do wyjaśnień skory nie jest. Mówi parę niecenzuralnych słów pod adresem ochroniarzy, żeby sprowokować ich do użycia przemocy. Gdy to nie skutkuje, a klient robi się coraz bardziej agresywny, wzywają policję. Tu następuje pewien paradoks, gdyż gest ten wyraźnie uspokaja agresora, co więcej, wprawia go w zadowolenie. Jak mówią zgodni świadkowie, Edward W. uśmiecha się, poprawiając połę płaszcza, po czym zjada jedną krówkę z opakowania, które rozdarło się w wyniku szamotaniny. Policja nadjeżdża dość prędko.

Dzielnicowy biorący udział w interwencji na długo zapamięta dzień 31 grudnia. Chwila aresztowania Edwarda W. nie jest pierwszym momentem spotkania obu mężczyzn. To miało miejsce wcześniej tego samego dnia. Około godziny szesnastej piętnaście Edward W. dobrowolnie zgłasza się na komendę i wyraża chęć bycia aresztowanym. Policjanci uznają jego zachowanie za sylwestrowy dowcip, będący wynikiem przedwczesnego alkoholowego upojenia i sugerują powrót do domu. Przejęty mężczyzna jeszcze raz ponawia swoją prośbę, jednak po dwukrotnej odmowie niezadowolony opuszcza komisariat. Po dwóch godzinach powraca. Policjanci, po wyeliminowaniu na podstawie jego stabilnego kroku i poprawnej artykulacji głosek możliwości, że mężczyzna jest w stanie alkoholowego odurzenia, zaczynają snuć podejrzenia o chorobie psychicznej, o czym w delikatny sposób informują petenta. Ten zaś, widząc zapowiadającą się kolejną

porażkę, wspomina o ciężkiej sytuacji rodzinnej, by uzyskać u funkcjonariuszy zrozumienie i spełnienie postulatów. Bezszykownie. Edward W. po raz drugi opuszcza komisariat, by trafić do niego za parę godzin w zupełnie nowych okolicznościach.

Problemy rodzinne kierują nasz wzrok w stronę najbliższej osoby zatrzymanego, mianowicie jego żony. Tamara W. jest kobietą w wieku trzydziestu pięciu lat, z zawodu urzędniczką pocztową. Ze spokojem relacjonuje zdarzenia, które zaszły tego dnia w domu państwa W. Ten dzień należał do zwyczajnych. Tamara W. spędza go wspólnie z mężem i dziećmi – trzynastoletnią córką i dziesięcioletnim synem – w harmonii domowego ogniska. Około południa jedzą wspólny obiad, podczas którego wymieniają się ogólnymi opiniami o świecie, pogodzie, aktualnym kursie walut, postępach w szkole pociech, produktach spożywczych, których brakuje w lodówce, a także omawiają swoje plany związane z zabawą sylwestrową. Edward W. około godziny szesnastej odwozi dzieci do przyjaciół rodziny, którzy organizują przyjęcie dla najmłodszych, aby móc spędzić noc wspólnie z małżonką. Po raz drugi opuszcza mieszkanie, aby kupić wino w pobliskim sklepie. Oglądają razem komedię romantyczną, która nasuwa Tamarze wspomnienia związane z początkiem ich miłości, o czym z entuzjazmem opowiada mężowi. Ten wydaje się nieco oswiały, co Tamara tłumaczy uspokajającym wpływem wina i zmęczeniem. Zanim zbliżenie intymne doszło do skutku, Edward W. przypomina sobie, że zapomniał o prezerwatywach. W popłochu wybiega z mieszkania. Tamara tej nocy już nie zobaczy się z mężem. Ogląda komedię romantyczną do końca, po czym w ponurym nastroju udaje się na spoczynek. Edwarda W. w tej chwili zabiera policja. Spędza sylwestra w więzieniu w towarzystwie dwóch poważniejszych złoczyńców. Wznoszą z policjantami symboliczny toast. Za Nowy Rok!



Dobrosław Wierzbowski, *Ona i Ja*